NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI
Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu: 4,000.000 Mkp. — Zagranicą podwójnie. — W Ameryce rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.
CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 15 groszy — cała kolumna Złp. 100·— pół kolumny Złp. 50·— 1/4 kolumny Złp. 26·— 1/8 kolumny Złp. 14·— 1/16 kolumny Złp. 9·—. W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 40 groszy — cała kolumna Złp. 160·— 1/2 kolumny Złp. 80·— 1/4 kolumny Złp. 40·— 1/8 kolumny Złp. 20·— 1/16 kolumny Złp. ·2·—. Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 15 gr. za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.
Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

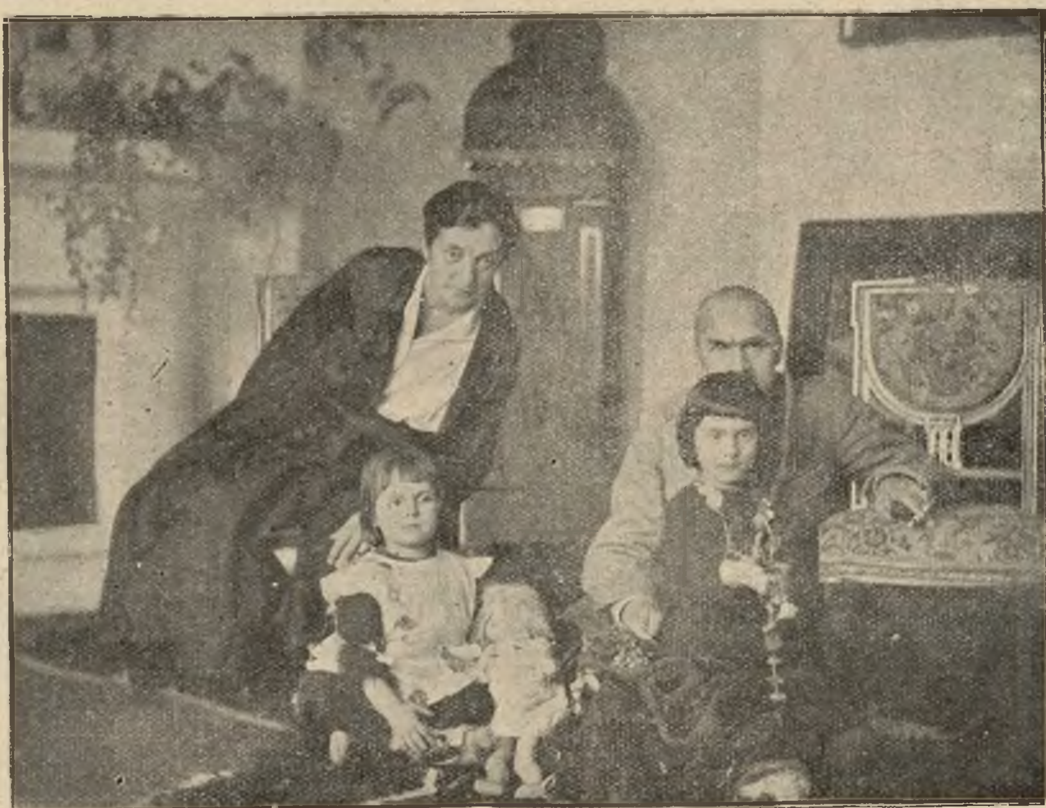
Numer pojedynczy 1,000.000 Marek.

Rok XXI. Kraków, 22 marca 1924. Nr. 12.

19. III. 1924



Najnowszy portret marszałka J. Piłsudskiego



Marszałek Piłsudski z małżonką swą Aleksandrą ze Szczerbińskich w swem zaciszu domowem Sulejówku pod Warszawą bawi się z ukochanemi córeczkami Wandką i Kalinką.

Fot. am. użyczona „Nowościom" przez jednego z przyjaciół marszałka.

Z życia Warszawy.

Podczas gdy Warszawa pląsała do utraty przytomności przez całe długie tegoroczne zapusty i poczytywała to sobie jeszcze za zasługę, jako że tańczyła przeważnie „na dobry cel" i „dla otarcia niejednej łzy", znalazły się w stolicy kobiety, które akcję filantropijną na rzecz biednych pojęły zgoła inaczej. Mam na myśli znany w całej Polsce komitet: „Chleb głodnym dzieciom". Zasłużoną jego przewodniczącą jest, jak wiadomo, małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej, p. Marja Wojciechowska, obok niej zaś działają w Zarządzie marszałkowa Ratajowa, prezesowa Balińska, posełka Irena Puzynianka, ministrowa Bartlowa i i.

Jak co roku, odbył się dnia 11 marca zjazd członków Stowarzyszenia Dowborczyków „Ku chwale Ojczyzny". Na uroczystem nabożeństwie, odprawionem w katedrze św. Jana, obecni byli generałowie: Dowbór-Muśnicki, Żeligowski, Konarzewski, Michaelis, Rządkowski (z ramienia Ministra Spraw Wojsk.), komendant miasta generał Suszyński, szef francuskiej misji wojsk. generał Dupont i w. i. Podczas nabożeństwa dokonano poświęcenia sztandaru oddziału warszawskiego, poczem ks. poseł Wyrębowski wygłosił kazanie, nawiązujące do epopeji bobrujskiej. W południe odbyło się w Resursie Obywatelskiej walne zebranie uczestników zjazdu. Przewodniczył mu gen. Dowbór - Muśnicki, który w krótkiem, żołnierskiem przemówieniu uczcił poległych towarzyszy broni. W czasie obrad powziął zjazd ważną uchwałę w sprawie unji wszystkich stowarzyszeń o charakterze wojskowym. Zastanawiano się też nad środkami jaknajrychlejszego urzeczywistnienia projektu wzniesienia w Warszawie pomnika ku czci poległych Dowborczyków. Zjazd zakończył się rautem i wspólną wieczerzą.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to są jedyne ważne sprawy, zaprzątające uwagę Warszawy. Są inne, ktorych „Vorfabel" sięga jeszcze epoki karnawału. Oto na balu, urządzonym przez sympatyczne wydawnictwo „Pani", organizatorzy zainicjowali turniej konkursowy, mający rozstrzygnąć, kto jest w Warszawie najwytworniejszym mężczyzną. Damy głosowały przez przypinanie swym wybrańcom honorowych pomponików. I oto co się okazało? Królem został wybrany znany artysta dramatyczny, p. Jerzy Leszczyński, po nim zaś najwięcej „głosów" otrzymał p. J. M. Bazewicz. Kto zaś jest pan Bazewicz, nie potrzebuję Wam chyba, Szanowni Czytelnicy, mówić! Jest to uczony geograf i mąż w sile wieku, szczycący się fenomenalnej długości... wąsami. Jeden i drugi powód sprawia, że p. B. jest jedną z najbardziej interesujących postaci Warszawy. Otóż nie dał on za wygraną. Ogłosił w prasie list otwarty z oświadczeniem, że nie p. Leszczyński, ale on, Bazewicz, otrzymał największą ilość pomponików; te jednak częściowo poodpadały w wirach tańców, których nie mógł odmówić rozentuzjazmowanym Warszawiankom. I to było przyczyną jego niepowodzenia.

Jerzy Ogiński

19-sty marca.

Bawiliśmy się spokojnie
Jak małe, niewiedzące, nawpółsenne dzieci,
Gdy ferment przeraźliwy zabulgotał w kotle Europy,
Gdy pierwsze napomknienia o możliwej wojnie
Prześliznęły się jak iskra elektryczna po drucie leci
I ruszyły się z letargu straszliwie
Rozpędowe koła wypadków,
A ślepe sfinksy dziejów do pochodu podniosły stopy.
Hop! — hop! Wstawajcie! — wici!
Budził nas ktoś,
Kołatał w drzwi i okna nieznajomy szary człowiek,
A myśmy się zrywali ze snu jak wylęknione dziatki,
Jak niewolnicy, którym starł bezwład z powiek
Jakiś huk trąb daleki, zmartwychwstających marszów gromobicie
I oto w nas skarlałych, nędznych, skulonych przy ziemi,
Uderzył młot porywów i uniesień,
Lawina zamierzchłych splendorów runęła w nas jak Anioł boży,
Dreszcz święty targnął nami, jak cud olśnienia ślepymi
I w szarą, bezbarwną, chwiejną żywotów naszych jesień
Buchnęła wiosna dni nowych,
Którym duch dziejów spiżowy
Karty swej księgi słońc klamrą spiętej otworzył.
A tam
Na klawiaturze wszystkich części świata
Grał ślepy muzyk szaleństwa, ścinające krew w żyłach fugi,
Jakoweś grzmoty toczących się z trzaskiem brył,
Jakieś eksplozje furji ruszających w galop narodów...
Okropne, stalowe machiny armji, dywizji, korpusów,
Biły w bębny, strzelały na wiwat przechodząc Rubikony granic,
Dyplomaci rzucali kości, straszliwe krwawe szach-maty
I jak wytrawni oracze pchnęli wodzowie wojsk pługi
Naładowane energją elementarnych sił.
— Brawura teutońskiego pochodu,
Lampartów w pikelhaubach opancerzone susy,
Panika miast młóconych, smaganych bastonadą pocisków,
Świder przełamań frontów, lament katastrofalnych odwrotów,
Hausty krwi w przełykach Hindenburgów i Mackensenów,
Rumowisko zwalonej Belgji, skąsanej krwiożerczym pyskiem,
I gnicie w rowach strzeleckich przykucniętej nad Izerą piechoty.
— Zachłyśnięci zalewem olbrzymich wydarzeń,
Wepchnięci w wór mundurów wrażych, cuchnących i wstrętnych,
Zgrzani pośpiechem ofenzyw, kontrofenzyw, ucieczek i bitew,
Chowając w głowie pod hełmem płomień najświętszych marzeń
Szliśmy, strzelali, stawali, jak nam kazali gdzieś z tyłu,
Krajaiąc sprawnie wroga jak ślepa, wyostrzona brzytew,
— A w gardle szloch nas palił, krzyk, krzyk, ten krzyk namiętny:
Za co, po co, dlaczego zakuci w kajdan przymusu
Prujemy brzuchy braci i ojców strącamy w mogiły,
My krew z krwi szwoleżerów, kość z kości czwartaków-wiarusów.
I wtedy jedna nam była rehabilitacja i sława:
— Komendant — lew legjonów i ich epopeja krwawa.
Widzieliśmy, że znowu z historji naszej kart
Wstał młody duch bojowy, ten legjonowy hart.
Że jak błysk tego miecza, co w garści Chrobrych się miotał
Nasz „sen o szpadzie" ożył, nasza legenda złota.
Polska wydarła się znowu z pod przemocy zabitych ćwieków,
Tarzała się w konwulsjach bezgranicznego bólu,
Szkarłatem krwi buchającej z otwartych pulsów rzeką
Zalała płaszcz pobojowisk i trysła w oczy królów
I w pośrodku Europy, jak wyrzut, jak hańba, jak zbrodnia
Zapłonęła jej mściwa krzywda, okropna, żywa pochodnia.
I nie mógł już jej przyćmić blask bombardowanych stolic,
Iluminacje frontów, łyskających miljardem wystrzałów,
Ani jej już nie zgłuszył gwizd szarż i marsz piechurów,
Ni miauk kul, ni spazm rannych drgających poszarpanem ciałem,
Ani zdyszane salwy stu mil tyraljerskich sznurów,
Ani krzyk mnóstwa matek wypłakujących oczy w niedoli...
Szła do stóp Bożych kurzawa z potwornych zmagań nad Marną,
Jęk biczowanej Belgji wił się i łkał po niebie,
— Ale ponad nie wyrósł chmurą ponurą i czarną
Czad żywcem palonego narodu na nadwiślańskiej glebie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przestały pluć baterje śmierć z haubic luf na miasta,
Lotnicy z radosną wieścią wzlecieli z swoich hangarów,
Że na zwęglonych zgliszczach paproci kwiat wyrasta,
Symbol „Swobody - Zgody", ten kwiat, jak płat sztandaru.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Parady, defilady gruchnęły po brukach Warszawy,
Na frontach bataljony trzykrotny okrzyk wzniosły
I „szary człowiek" Komendant uchwycił sceptr buławy
Z krwawego kotła zdarzeń, jak symbol hartu wyrosły.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Rok w rok uderza młotem, czas wije i zdziera wawrzyny,
W mgłę się zasuwa człowiek — idea trwa w budowie,
Lecz żywie wciąż w naszych sercach wielki romantyk Czynu,
Naród go pojął, pokochał i Naczelnikiem zowie.
I choć się szarpie boleśnie w niechęci bratniej fali,
Jako, że nikt prorokiem nie będzie między swymi
Zgłębią myśl jego wieki, co z perspektywy dali
Spojrzą nań, jak na pioniera, co ziścił sen olbrzymi.



Z życia Warszawy: 1) Zjazd Związku Dowborczyków. W środku gen. Dowbór-Muśnicki w ubraniu cywilnem i miękkim kapeluszu. Na skraju fotografji z lewej strony p. Juljan Adolf Święcicki, prezez Zw. Weteranów 1863 r. 2) Komitet wykonawczy „Chleb głodnym dzieciom". Siedzą od lewej do prawej: posłanka ks. Puzynianka, p. prezydentowa Wojciechowska, p marszałkowa Ratajowa. p. sen. Balińska. Stoją: hr. Józefowa Potocka, hr. Tyszkiewiczowa, Zuzanna Rabska, Kadenowa, Bartlowa, Morsztynowa, płk. Zaruska, Pułaska, Krasicka, Kossowska. Fot. Sarjusz-Wolski, Warszawa.

A w opinję publiczną, — jakby grom uderzył. „Wytworzyły się — powiada „Pani" w odpowiedzi na list p. B. — dwa obozy, dwie partje: zwolenniczek p. Jerzego Leszczyńskiego i p. J. M. Bazewicza. Antagonizmy nabrzmiewają, lada chwila może dojść do ciężkich powikłań i walki. Grozi nam nowe rozdarcie kobiecej... opinji, konflikt rozgrywa się pod groźnem hasłem: Wąsy czy peruka? Wąsy p. Bazewicza, czy peruka p. Leszczyńskiego? Doszły nas słuchy, że znalazła się „zbrodnicza ręka" i że zamierza targnąć się na zniewalające serca kobiece wspaniałe dziedziczne wąsy p. Bazewicza, by ofiarować je p. Leszczyńskiemu. Doniesiono nam również o zamiarach terrorystycznych zwolenniczek p. Bazewicza, względem loków p. Leszczyńskiego. Słowem walka może przybrać groźne formy".

Wobec tego redakcja „Pani" proponuje kompromis na następujących warunkach:

„Ani p. Leszczyński, ani p. Bazewicz, lecz obydwaj są najprzystojniejszymi dżentelmanami. Trzydziestomiljonowy naród stać na dwóch arbitrów elegancji. Piękne panie, zjednoczcie się we wspólnym kulcie wąsów i peruki. Inicjujemy rokowania pokojowe. Miejsce — Ziemiańska. Dzień — wiosenny. Skład delegacji — wytworny. Specjalne zaproszenia rozsyłane nie będą".

Czy ten głos rozsądku nie jest głosem wołającego na puszczy, przyszłość okaże. Gdyby jednak tak miało być — drżyj Warszawo! *W.*

Otwarcie polskiego Instytutu Sztuk Pięknych.

W sobotę ubiegłą dn. 15 marca, odbyło się w Krakowie uroczyste otwarcie i jednocześnie pierwsze inauguracyjne posiedzenie polskiego „Instytutu Sztuk Pięknych", zorganizowanego na wzór francuskiej „Academie des Beaux Arts", instytucji, grupującej najwybitniejszych tylko działaczy i twórców w zakresie sztuk plastycznych, a więc malarstwa, rzeźby i architektury, oraz ich historji.

Na pierwszem posiedzeniu Instytutu, w którem wzięło udział ośmnastu członków czynnych, zamiejscowych i krakowskich, wybranym został przy pierwszem zaraz tajnem głosowaniu prezesem Edward hr. Raczyński, znany zaszczytnie na całą Polskę, a i zagranicą, mecenas, zbieracz i znawca wprost wyjątkowy dzieł sztuki, malarskiej zwłaszcza.

Podobnie jednogłośnie wiceprezesem wybrano równie znakomitego a w całej Polsce czcią otoczonego artystę, jakim jest prof. Leon Wyczółkowski, sekretarzem jeneralnym zaś został prof. Dr. Adolf Szyszko-Bohusz, obecny rektor Akademji Sztuk Pięknych, oraz w państwie całem



Otwarcie Polskiego Instytutu Sztuk Pięknych: Fotografja uczestników I-go posiedzenia, ktore odbyło się w Krakowie w sali Akademji Sztuk Pięknych dnia 15 marca. Siedzą (od lewej do prawej): prof. Karol Tichy (Warszawa), prof. Jerzy Warchałowski, prof. Ferdynand Ruszczyc (Wilno), prof. Stanisław Noakowski (Warszawa), prof. Józef Mehoffer, prof. Marjan Lalewicz (Warszawa), prof. Jerzy hr. Mycielski, prof. Leon Wyczółkowski, rektor Adolf Szyszko-Bohusz, prof. Stanisław Tomkowicz, prof. Leon hr. Piniński (Lwów), prof. Teodor Axentowicz, prof. Józef Pankiewicz. Stoją: prof. Józef Gałęzowski, prof. Wojciech Weiss, prof. Konstanty Laszczka i dr. Mieczysław Treter (Warszawa).



Solenizanci z 19-go marca w karykaturze: Generał Józef Dowbór-Muśnicki. Rys. dla „Nowości" A. Wasilewski

głośny kierownik restauracji zamku na Wawelu. Z powodu chwilowego zasłabnięcia nowo wybranego prezesa, dwudniowemi posiedzeniami kierował prof. Leon Wyczółkowski. Pierwsze posiedzenie zakończył przeszło godzinny odczyt prof. Józefa Mehoffera p. t. „Wczoraj i dzisiaj w sztuce polskiej", który obecni wysłuchali z wyjątkowem napięciem, tyle mieściło w sobie nowych i ważnych spostrzeżeń o malarstwie polskiem ostatniego pięćdziesięciolecia od Matejki aż do dni naszych, ujętych zawsze głęboko a zarazem pod tak bardzo interesującym kątem widzenia znakomitego artysty.

Drugi dzień posiedzeń wypełniły ściśle naukowe referaty, Na czele ich stanął referat Dra Stanisława Tomkowicza p. t. „Sprawy konserwatorskie", w którym poruszone zostały aż do sedna rzeczy sięgające ujemne strony obecnego położenia polskich konserwatorskich placówek, oraz w ślad za tem idącego niebezpieczeństwa, grożącego coraz więcej zabytkom artystycznym i historycznym na ziemiach polskich.



Kościuszko pod Racławicami: Obraz VI Bitwa. Według układu Wojciecha Kossaka, na tle dekoracji malowanych przez ś. p. Wł. Tetmajera.

Referatem następnym był wykład prof. Dra Jerzego Mycielskiego: „Dezyderata naukowe, dotyczące historji sztuki w Polsce minionego wieku", w którym rozwinięte zostały wszystkie niezliczone braki w dzisiejszym stanie nauki nad dziejami architektury i rzeźby a przedewszystkiem malarstwa polskiego w wieku XIX. Prelegent stwierdził na całych dziesiątkach przykładów, że bez naukowo metodycznej analizy twórczości poszczególnych artystów minionego stulecia synteza historyczna tegoż malarstwa dotychczas dokonać się nie da i że wszelkie w tej mierze próby raczej poronione być muszą. Historja taka z czasem zjawić się musi, ale równie metodycznie dokonana jak obraz twórczości jedynego dziś w tej mierze opracowanego artysty, Artura Grottgera w dziele prof. Jana Bołoz-Antoniewicza. Mimo podstawowego, jako materjał, dzieła Tarnowskiego o Matejce i mimo niezmiernie ważnych sądów o nim Witkiewicza, w znanej choć przecenionej jego książce, materjał do zupełnego postawienia Matejki jeszcze zebrany nie został i należy w tej mierze wydać przedewszystkiem w osobnym *Codex epistolaris* całą jego korespondencję. Wszyscy inni dotąd artyści minionego wieku, wyjąwszy Maksa Gierymskiego, opracowanego przez Sygietyńskiego, czekają ciągle na monografje, ściśle naukowo opracowane a wydawane na wzór publikacji francuskiej „Académie des Beaux Arts" p. t. „Wielcy artyści"; winny one być jednem z pierwszych zadań w pracach Instytutu. Monografij takich, dokonanych przez uczniów prof. Pagaczewskiego, oraz prelegenta, a za których metodykę oni odpowiadają, jest już kilka gotowych do druku z ilustracjami, kilka zaś o pierwszorzędnej wagi artystach jest również w robocie.

Dyr. Dr. M. Treter przedstawił na popołudniowem posiedzeniu wyczerpujący referat p. t.: „Organizacja zbiorów państwowych".

Zakończył zaś posiedzenia referat p. Jerzego Warchałowskiego p. t. „Polska sztuka dekoracyjna wobec wystawy paryskiej".



Złote gody ze sceną: Dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu, znakomity artysta Roman Żelazowski.

Jak słusznie podkreśla „Czas", który najpoważniej i najbardziej wyczerpująco z całej prasy omówił otwarcie Instytutu, ogólne zdziwienie wywołał fakt, że przy otwarciu tego nowego niesłychanie ważnego ogniska polskiej sztuki i kultury, którego działalność rozciąga się na cały obszar Polski, a którego protektorem jest obecny prezydent Rzeczypospolitej, zabrakło przedstawiciela rządu, a przedewszystkiem delegata min. oświaty. Ani to kompetentne ministerstwo, ani jego departament kultury i sztuki, nie dali znaku życia i nie odezwali się jednem słowem podczas uroczystości, która stanowić będzie datę w historji rozwoju naszej narodowej kultury; w żadnem państwie cywilizowanem podobne zaniedbanie nie mogłoby się wydarzyć.

Złote gody ze sceną
Romana Żelazowskiego.

Jeden z „ostatnich Mohikanów", jeden z ostatnich wielkiej plejady artystów, zubożałej niedawno przez zgon Rapackiego, święcił w ubiegłym tygodniu jubileusz swój w Poznaniu.

Niema niemal miasta większego w Polsce, którego mieszkańcy nie znaliby Żelazowskiego ze sceny, z różnych czasów jego 50-letniej pracy, której początki nieoddzielnie i zawsze były związane z wędrowną tułaczką aktora. Kraków zna go tem więcej, i tem więcej niezapomnianych chwil mu zawdzięcza. I dziś z serdecznością i radością słucha głosów z Poznania, gdzie Żelazowski jest obecnie dyrektorem, i gdzie jego jubileusz stał się prawdziwem świętem miasta całego.

A co mówią te głosy i jak ocenia Poznań sztukę i pracę Żelazowskiego w swych murach — to najlepiej charakteryzują słowa poznańskiego „Przeglądu Porannego":

„Teatr był w pierwszych latach odzyskanej niepodległości najlepszą wszechnicą polskości w Poznaniu, odwiedzaną gorliwie i kształcącą najskuteczniej. Rektorem tej akademji rerum polonicarum był Roman Żelazowski.

„Już to samo powinno starczyć dla kornego wyrażenia hołdu wielkiemu dyrektorowi w dniu złotych jego godów ze sztuką.

„Do tego jednak pięknego plonu Żelazowskiego, jako kierownika sceny poznańskiej trzeba dodać ilość niezapomnianych chwil, przeżytych w teatrze, ilekroć program zapowiedział jego nazwisko, jako wykonawcy roli w tragedji czy komedji.

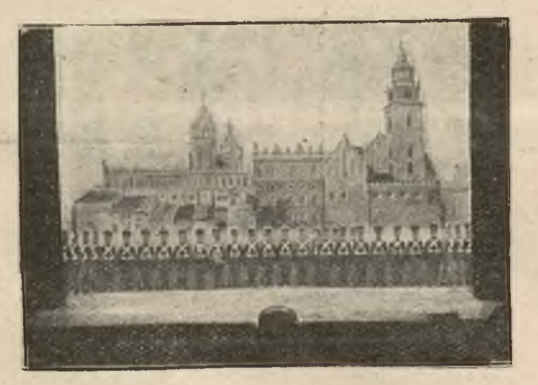


Solenizanci z 19-go marca w karykaturze: Generał Józef Haller. Rys. dla „Nowości" A. Wasilewski.

„Ks. Piotr, Derwid, Horsztyński, Wojewoda, Żdżarski z „Dla szczęścia" Przybyszewskiego, z obcej literatury Otello, Ludwik XI, Ryszard III, Burmistrz ze Stylmonduo — to litanja postaci zagranych z mistrzowskiem opanowaniem techniki aktorskiej i z wrodzonym potężnym talentem wirtuoza artysty. Od Żelazowskiego uczyli się w Poznaniu artyści jak stwarzać się powinno żywego człowieka; publiczność chłonęła od niego objawienie wielkiej sztuki aktorskiej i kult dla piękna i siły.

„Kościuszko pod Racławicami"
w rocznicę Anczycowską.

Setną rocznicę urodzin Anczyca, minioną przed 3 miesiącami uczcił Teatr Miejski im. Słowackiego wystawieniem dzieła jego, które niewzruszenie oparło się niszczącemu zębowi czasu i do dziś zniewala widzów i słuchaczy siłą i prostotą ujęcia



Kościuszko pod Racławicami: Dekoracja do obrazu II. „Przysięga" Rynek krakowski ze staremi Sukiennicami i dawnym ratuszem według współczesnych sztychów.

Ta „sztuka ludowa", która przez 43 lata jest grana przy wypełnionej widowni i porywa zawsze słuchaczy z ludu i młodzieży, jest nietylko sztuką popularną. Najkul uralniejszym ludziom daje „Kościuszko" równie, a nawet bardziej bogate zasoby wrażeń jak i publiczności niedzielnej. W tem tkwi tajemnica jej powodzenia, w tem tkwi także i jej wielkie znaczenie kulturalne i pedagogiczno-artystyczne.

Słuszny też i niezwykle trafny jest sąd tak świetnego znawcy literatury jak Adam Grzymała-Siedlecki, który w przemówieniu swem na przedstawieniu rocznicowem stwierdził, że o 3 dziełach literatury polskiej można po wiedzieć, że spełniły marzenie Mickiewicza docierając aż pod strzechy. Są to: „Pan Tadeusz", Trylogja Sienkiewiczowska i „Kościuszko pod Racławicami". Ten sąd i to zestawienie najlepiej charakteryzują znaczenie Anczycowskiego i rocznicę jego jako pisarza.

Stwierdzają też, że Teatr Miejski nie mógł lepiej uczcić rocznicy, jak przez wznowienie „Kościuszki", który pod wytrawną reżyserją p. Jednowskiego i przy znakomitej obsadzie (przytem role Kościuszki i Bartosza odtwarzali pp. Piekarski i Miarczyński, którzy grali je na froncie w r. 1915 i 1916 na polach tuż za legjonowemi okopami) stało się nietylko świętem Anczycowskiem, ale i świętem teatru w Krakowie.



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN. ILUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

2)

Szprychy wozu otarły się nieomal o Jurka.

Na miękkich poduszkach rozparty oficer pruski, w polowym mundurze, żywo coś opowiadał siedzącej obok niego wytwornej damie, w europejskim stroju. Ona zdawała się słuchać go uważnie, a jednak — wzrok jej z poza paryskiej woalki ślizgał się zimny po postaciach piechurów. I padł też na chłopca.

A on — tak mało dotąd znał kobiet! — zmieszał się i prawie zaczerwienił. Zawirowało mu wszystko i znikło: Auto dama oficer.

Jak we mgle jednak pamiętał tę twarz tak piękną i tak odpychającą i te oczy zimne, spokojne, świadome siebie, o przeraźliwej urodzie.

Muzyka grała marsza Radeckiego, z fantazią od ucha..

...Dziń — dziń! Bum, bum!...

Czwórki zwarły się znów.

Podkute buty żołnierskie łomotały o bruk: Łup, łup łup...

Skręcili w bok, a wiosenny wiatr przyniósł im powiew morza..

Ulicę zamykały kominy i maszty i czerwone cegły koszar Marynarki.

A pomiędzy tem wszystkiem przeświecały błękitne wody Złotego Rogu.

Tłumy poddanych Padyszacha patrzyły na odjazd „pożyczonej" dywizji austrjackiej na front.

I ruszyli nareszcie. Z głuchym łoskotem śruby i pokrzykiwaniem załogi, ciągnącej okrętowe liny, odbijały od brzegu statki, pełne żołnierzy.

Sine kłęby dymu wlokły się za niemi.

Cała „turecka dywizja" pod eskortą krążowników wojennych rozpoczynała przeprawę przez morze Marmara do dalekiej i nieznanej Azji...

„Na pokładzie Hamidjeh".

Wsparty o burt tylnego pokładu chłonął Jurek oczyma przesuwający się z obu stron Istambuł...

Purpurowe zachodzące słońce dodawało czaru i blasku temu niezwykłemu obrazowi.

— Jakiż świat jest piękny! — wyrwało mu się mimowoli z piersi.

— Tak, tak, Carogród — to ósmy cud świata — ozwał się za nim gardłowy głos.

Odwrócił się z niechęcią, że mu macą tę wyjątkową chwilę zachwytu.

Za nim stał kolega - Czech z jowialno chytrym uśmiechem na szczerbatej gębie



W pięknym gmachu maurytańskim urzędowała pruska poczta polowa...

Rad nie rad musiał się zgodzić znów na jego towarzystwo...

— O, widzisz tam, na lewym brzegu Moszea Sułtana Selima, a tam dalej Mahometa Zdobywcy, a tu Stary Bazar..

Na widnokręgu piętrzyły się płaskie dahy domów i szpiczaste wieże minaretów, domy, domki, ulice..

Okręt wydał z siebie żałosny jęk i pochylił kominy.

Przepływano pod starym mostem Mahmeda. Z obu stron śmiały się do nich sady i ogrody najpiękniejszych dzielnic Stambułu: Kopeni, Galata, Pera — złota Pera!

— To cudowne miasto — ten Stambuł! — rzucił Jurek entuzjastycznie.

— Tak, tak, ale zdaleka. Widziałeś jakie wewnątrz brudne ulice, walące się domy?

— Bo też wszyscy Turków skubią, jak mogą.

— A ja też troszkę ich pociągnąłem za kabzę.

— Jakto?

— E! ty głupi jesteś jeszcze. Jakby ty chciał, to byś mógł tyż zarobić — rzekł ów rzekomy tłomacz, przymrużając oczy. — Pieniążki, pieniążki — to grunt! O resztę nie dbam.

A Jurkowi wydał się taki wstrętny w tej chwili, błogosławionej chwili zbratania się dnia z nocą, iż odwrócił się z niechęcią.

— Czego się dąsasz? Jak dłużej pożyjesz to zobaczysz. Ale ty paniczyk, czapką, papką wykarmiony, to tobie niewsmak proste, żołnierskie gadanie! Ale słuchaj no, może masz papierosa?...

— Przecież ci oddałem moją porcję tytoniu!

— Iiii! Co tam tego było! Ale mówiłeś, żeś dostał pieniądze od matki! Daj mi dwie korony, to se zejdę na dół do kantyny. A jak dasz jeszcze dwie, to i wódki kupimy, powiadam ci: pycha ten marynarski rum.

Chłopak dał mu pieniądze, aby się go pozbyć. On jednak za chwilę wrócił znów, ostrożnie pod bluzą ukrywając pękatą manierkę.

— Bo to widzisz na statku nie wolno. Ale mnie dają przez protekcję, bo ja, hoho! to mam wszędzie znajomości. Powiadam ci ratafja, palce lizać! Może napijesz się też?

— Nie, dziękuję ci!

— Ot, filozof! Nie wie co dobre!

Wkrótce okręty minęły i drugi most, wypływając na spokojną toń Bosforu.

— Jutro będziemy przy wyspach książęcych. Zatrzymamy się tam aby wziąść węgiel. Jeślibyś chciał, to możesz mi dać list, a ja tam na ląd poszlę przez kucharza.

— List, mówisz? — żywo zwrócił się do niego Jurek. — Dobrze, dobrze, zaraz napiszę.

— Ale widzisz, to ja muszę temu coś dać, który zaniesie, no i zagraniczne marki...

— Ach, tak — cierpko przerwał mu chłopak, trąc czoło. — Ileż to będzie kosztować?

— Dziesięć koron!

— Dużo!

— No, ale widzisz, to nie tak łatwo, bo to właściwie nie wolno.

Chłopak począł szukać w kieszeni.

— Mam jeszcze tylko pięć!

— To zamało. Ja i tak muszę dopłacić do tego interesu.

— A to złodziej! — pomyślał Jurek.

— Kiedy nie mam więcej! — dodał głośno.

— No to nie będzie nic z listu!

W tej chwili przed oczyma chłopca zajaśniały oczy matki dobre i smutne.

— No i cóż ja zrobię? — rzekł zrozpaczony Jurek.

— Daj mi jeszcze ten kubek aluminjowy, to ja ci to załatwię,

bo mi cię żal. A tak go sprzedam i będzie na marki. Bo to musi iść jako cywilny list. Zgoda?

— Cóż mam robić? Masz!

— No to siadaj, pisz!

Jurek przykucnął na ziemi i przy migotliwem świetle, padającem z okna kajuty pisać począł na kartce wyrwanej z notesu.

„Droga moja!

Dziś wypłynęliśmy z Kostantynopola.

Gdzie jedziemy i jak długo to potrwa — niewiem dokładnie. W każdym razie z parę dni. Wyładują nas pewnie w jakimś porcie Małej Azji.

Jest mi teraz stosunkowo nieźle. Ten rudy Czech opiekuje się mną ciągle, choć mi ta opieka jego kością w gardle staje. Dziwnie antypatyczna figura! Ale cóż mi pozostaje? On ma stosunki i wpływy i dobrze żyje z wszystkiemi szarżami. Więc mnie też teraz i lepiej traktują i znośniej karmią. Obiecał mi wystarać się o to, by mi prawo jednoroczniaka zwrócono. Ale najważniejsze, to te listy, które mi jakąś tajną drogą wysyła bez cenzury. Bo teraz nam tylko kartki wolno pisać.

Tu na statku pełno ludzi, jak śledzi w beczce. Narazie zdrów jestem i nawet w dobrym humorze, naprawdę Kochańciu! A jak tu cudnie, jak cudnie! Tak chciałbym po wojnie z Tobą tu przyjechać! Pali mnie ciekawość jak tam będzie w tej Azji? Moja dawna żyłka: Żądza przygód, odezwała się znów we mnie.

Niewiem, czy przeczytasz te bazgroty, bo piszę ołówkiem i przy takiem świetle, że ledwo widzę.

Mój miły Boże! Czy ja myślałem kiedy, że będę własnemi oczyma oglądać to wszystko?

Gdyby tylko nie ten mundur przeklęty!

Tam u nas pewno pluty marcowe, wichury i deszcze, a może śnieg jeszcze leży? A tu słonko wiośniane, woda taka jak lustro i mimo wieczoru, chłodu nieczuć wcale.

Bądź zdrowa mamo i dobrej myśli! Dam sobie radę.

Całuję Cię jak dawniej
twój mały Synek".

Czech schował podany list w zanadrze, mrucząc w duchu:

— Jeśli myślisz, że ja ci ten list wyszlę, głupcze jeden, to się grubo mylisz! Moneta nie chodzi piechotą! Kartka drukowana do tej starej wystarczy!

W dali majaczyły w wieczornym mroku kontury przeciwległych brzegów Małej Azji.

— To azjatyckie przedmieścia Carogrodu: Üshidar i Kadlhüi. Tam, gdzie latarnia morska świeci! — objaśniał Czech.

Ale Jurek nie słuchał go już. Jeno mruknąwszy coś miast odpowiedzi, powlókł się na przód okrętu; tam koło kotwic, ułożywszy się na zwojach lin, oczy wzniósł ku gwiazdom, ku niebu, ku Bogu, ku temu nieznanemu, co taki daleki, choć tak upragniony, wie ponoś o najmniejszym robaczku na dnie morza! Czemuż więc teraz, nie da jemu, Jurkowi, znaku, że jest, że wie, pamięta i o nim, tak bardzo opuszczonym, takim samym, samiuteńkim, u wstępu życia rzuconym brutalnem prawem wojny daleko od domu, ojczyzny, od tych, którzy go kochają?...

Stalowy dziób fregaty rozcina ciało morza na kawałki i prze naprzód, ku nieznanym brzegom. Słone, wilgotne kropelki, niby paluszki fal, z szumem pod burt biegnących, głaszczą i całują jasne skronie chłopca, szemrzą i pluskają głosem — niby — matki:

— Cichaj maleńki, cichaj! Uspokój się, synaczku, ukój, wszystko w ręku przeznaczenia! Odwieczne, nieodgadnione morze czuwać będzie nad twoim snem!

A statek szedł ciągle naprzód i naprzód, jednostajnie i rytmicznie kołysząc się z boku na bok, w takt fali, co pokornie kładła się pod jego żelazne lędźwie.

Żołnierzyna, znużony opuścił piaskiem snu zasypane powieki, spokojny i tak bezpieczny jakby nie otchłań dziesiątek metrów wody, paru ledwo deskami przedzielona od niego, była mu za posłanie, lecz białe, miękie łóżko, w rodzicielskim domu...

A przez sen — może do gwiazd się uśmiechał i do granatowej nocy Wschodu, co coraz gęstszym cieniem pokrywała wody...

— —

...Wąskiemi, ciemnemi uliczkami gonił za nią, bez tchu, bez pamięci.. Z lewej i prawej rząd czarnych domów... Z za każdego węgła jakieś oczy złe, zbójeckie, jakieś ręce w krzywe jatagany zbrojne.. Na piersiach taki ciężar, taki ciężar okropny!

Biegnie, potykając się o kamienie. A przed nim — owa pani z auta, wysoka, smukła idzie wolniutko, wolniutko, ogląda się co chwilę i uśmiecha do niego bladą, pudrowaną twarzą, z pod koronkowej woalki, A oczy ma takie niebieskie, zimne, szydercze. Chce krzyczeć coś do niej, wołać, ale głos więźnie mu w gardle — nie może.

Nagle czuje, że ją schwycił za kraj sukni powiewnej, lecz w tej chwili, upadł a ona z rąk mu się wysuwa i odchodzi, odchodzi, rozpływa się, niknie w wąskich uliczkach Stambułu.. Chce się zerwać i dalej biec za nią, nie może, coś go nie puszcza, jakby sznury jakieś, szarpie je — naprożno...

. . . .

Nagle wyciąga ramiona, uderza o coś twardego i... budzi się. Otwiera oczy, przeciera powieki i w tej chwili słyszy nad sobą w serbskiem narzeczu:

— Daj pozor, malczyk!

Równocześnie jednak, coś go silnie i dotkliwie uderza powtórnie w głowę, ziemia się pod nim rozstępuje, kołysze... Rozgląda się wokoło...

Ach, tak, prawda, to statek przewala się z boku na bok, na fali, co już nie taka łagodna, pieszcząca, jak wczoraj na Bosforze, ale zła gniewna, pomarszczona; bije o wątłe ścianki okrętu. Gdzieś tam, daleko, świta. Zimno, brrr! Mgła wilgotna wstaje z nad wody.

A on leży, skulony w żołnierskim swym płaszczu. Chce się podnieść, nie może, bo oto zaplątał się w zwoje lin i one to zatrzymywały go w tym śnie męczącym.

Przetarł oczy raz i drugi, siadł, rozglądnął się: Gdzie okiem sięgnąć, woda, woda, woda. Fale biegną, biegną z wełnistym garbem białym na ciemno-zielonych plecach i buch! o burt uderzają i wracają znów rozstrącone!

Nic nie widać, tylko niebo pochmurne nad głową i reje i maszty...

Z okopconych kominów czarny dym wali prosto w górę. Statek sapie i harczy i dygoce i sunie naprzód. Na horyzoncie dostrzega chłopak po chwili czarny punkt, jeden, drugi, trzeci, czwarty, to inne statki ich eskadry, ach, tak, przypomina sobie, wczoraj wieczór załadowali ich na okręty, jadą gdzieś tam do Azji na wojnę. Mój Boże, że też mógł o tem zapomnieć? A on spał, tu na górnym pokładzie; przemarzł i śniło mu się coś tak głupio?...

Dlaczego właściwie ta pani? Co go to może obchodzić? Otrząsnął się. Spojrzał za siebie. Dwoje siwych krzaczastych brwi i małe, poczciwe oczka z pośród nich uśmiechały się przyjaźnie do niego.

Zniszczone płócienne ubranie rozdarte na włochatej, brązowej piersi i marynarska czapa — mówiły same za siebie.

Siedział na przewróconej kotwicy i ćmił fajkę. Wiatr chłodny niósł od niego zapach ordynarnego bakunu.



— Dzień dobry! — wyrzekł Jurek, ot, aby coś powiedzieć.

A stary:

— Uderzył się w głowę? A mocno?

— Nie, nie bardzo, ale trochę boli...

— A widzisz, ja mówił... dać pozór! Morze nie dobre rankiem. Od „Czarnego" wieje wiatr ruski! Huśta statkiem, jak cholera, kto nie zwyczajny, to niedobrze mu. A ty nieboże, spał? Na tej wilgoci? Ot, niemądry malczyk — durak! A czemu ty nie poszedł do „kambuzu"? Tam ciepło!

— Tyle ich jest na dole. Niedobre powietrze, leżą jeden na drugim...

— A, delikacik! Pańskie dziecko! Trza się nauczyć!

— Ja się też nauczę, ale tak z początku, ciężko!

— A ile tobie roków?

— Dziewiętnaście!

— Ho — ho! ty młodzik jeszcze! Wielki młodzik! Ty Polak? Christjanin? Ja tyż — Sławianin U ruskich służył. Ja Syrb. A tera to tu — „Ober-mat". Ja na służbie przy kotwach. A ty śnił, ha? Tak się rzucał przez sen... Mózg się nagrzał za dnia, to temu! Carogród — niedobry, niezdrowy. Tam fybra i inne choróbska. Ale matka — morze wnet wyleczy. Tera się trochę sierdzi. Ma się na burzę. spójrz!

Szerokim ruchem pomarszczonej, żylastej ręki wskazał bezkres wody.

— Jakiż to ogrom! — pomyślał Jurek. — Jaki potężny. Mój Boże! Że też to tyle dziwów jest różnych i to tak naprawdę, nie tylko w geografji szkolnej I właśnie on, Jurek, własnemi oczyma to wszystko ogląda! Jak to się dziwnie plecie!...

I milczeli obaj zatopieni w swoich rozmyślaniach, ten jeden młody i ten drugi stary.

A wokoło nich kotłowało morze, śruby obrętu hurkotały głucho, statek skrzypiał i piszczał w rejach, masztach i wiązaniach.

Pod sino-brudnem pasmem chmur leciało stado mew z żałosnym krzykiem.

A na lewo, a na prawo, przed niemi i za niemi: Nic — jeno woda.

— A powiedzcież mi ojcze, gdzież to tak jedziemy właściwie? — spytał wreszcie chłopak.

— Oj, na wojnę, mlady, na wojnę, na śmierć, na choroby, na głód i pragnienie, na twardą nędzę żołnierską. Niejeden z was nie wróci stamtąd. Ja znam te stepy, gdzie hyjeny jeno po nocach wyją. Ja tam bywał... Hen, do Jaffy was wiozą, do Beirut, gdzie śnieżny Libanon, a stamtąd pójdziecie w głąb pustyni. Ot wy teraz janiczary Padyszacha!

Żołnierz podniósł głowę i skrzyżował się ich wzrok.

W oczach starego marynarza dostrzegł tyle prawdziwej życzliwości, iż bez wahania odpowiedział również serdecznem spojrzeniem.

A żeglarz szorstką, twardą dłoń na głowie młodej, rozczochranej położył.

— Jakby stary Milan, molim was, mógł kiedy pomóc, jak złe losy przyjdą na ciebie, to może da Bóg, że gdzieś w świecie dalekim na co przydam się jeszcze. Kto to może wiedzieć? Ja takiego chłopca miał, ale przepadł. I teraz sam. A ty masz kogo, matkę może?

— Mam! — cichutko szepnął Jurek.

— Pamiętaj o niej!

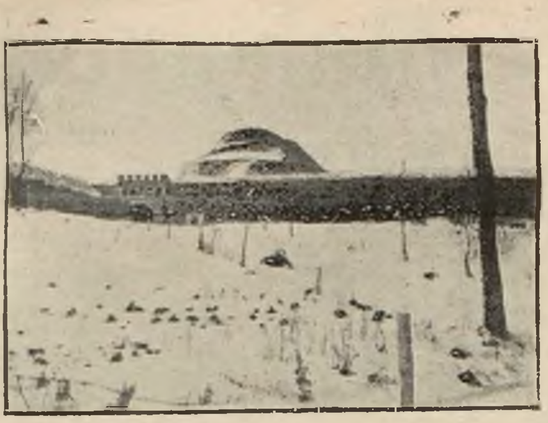
— —

W starej farze podgórskiej mieściny msza cicha gorzała chwiejnym blaskłem żółtych świec u ołtarza Panny Częstochowskiej.

Ranna godzina, kościół pusty i cieniem zasnuty. Witraże upiorne strzegą mroku.

Jeno złoty ornat i siwiutka głowa księdza jaśnieją pod świętym obrazem Matki Zbawiciela.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WITOLD HORESZKO.

Zgasł „Lampion Karnawału"...

Śnieg sypał...

Gdym przylepiwszy nos do chłodnej szyby zatonął oczyma w otchłaniach fioletowej, sylwestrowej nocy zawirował przedemną chaos ruchliwych, niezliczonych, migotliwych płatków...

Leciały z nieba na łeb na szyję całe szarańcze tych białych istotek ciche, puszyste, drżące, miljardami miniaturowych ciałek spadały na asfalt ulic i miasto całe obrastało, jak ptak olbrzymi ich srebrnem pierzem...

Z czwartego piętra wzrok mój spadł jak szyszka z choiny w czeluść ulicy...

Dołem pędziły dzwoniące, pobrzękujące saneczki, dołem snuło się długie pasmo postaci otulonych we futra i zawoje — tłum biegnących ku bramom sal redutowych Pierrotów, bajader i sewrskich figurynek markiz o białych, pudrowanych perukach.

Sylwester...

Tu i tam grały na estradach i galerjach orkiestry, pląsał po lśniącej posadzce rytm shimmy i jawy, przy stolikach tryskały fontanny szampana z odkorkowanych flaszek...

A ja nie chciałem się bawić...

Nie umiałem dotąd otrząsnąć się z szarego prochu rzeczywistości, codzienne troski zmurszałego żywota sączyły się we mnie, wsiąkały w moje nerwy i przywiązały moje myśli do beznadziejnej monotonji obracającego się jednostajnie kieratu...

Jeszcze przed chwilą wpadł do mnie, jak pękająca bomba z hałasem mój przyjaciel w barwnym kostjumie wschodnim.

„Chodź ze mną — naglił. — Przecież to Sylwester, do stu pomarańczowych piorunów! Jak możesz gnić w tym zatęchłym, wiecznie tym samym pokoju — gdy tam w mieście ludzie szaleją, jak pijani tą dziką, djonizyjską nocą — powitania karnawału".

„Idź sam — odpowiedziałem uparcie. Nie będę tańczył...

„Idjota" — mruczał tamten wychodząc...

Chciałem rzucić weń książką leżącą przedemną na biurku, ale...

„Może ma rację... — pomyślałem — Z jego punktu widzenia jestem idjotą... Cały świat hula, a ja nurzam się w bezproduktywnej i śmiesznej melancholji...

Ale mimo tych refleksji, nie poszedłem nigdzie.

Rozparty wygodnie w kołyszącym fotelu paliłem wonne cygaro.

Dym snuł się równiutko srebrno-błękitną tasiemką i rozpływał w niewyraźny tuman w górze pod sufitem. Zapadałem zwolna w stan jakiegoś jakby odurzenia haszyszem. Bezgraniczne lenistwo nachyliło się nademną i oplątywało moje ciało w siatkę nawpółsennego nastroju...

Powietrze drgnęło — bo oto zewsząd poprzez mgłę narkotycznej ciszy dolatywać poczęły głuche przeciągłe dźwięki, jakby gdzieś na placach chińskich i indyjskich miast, jacyś dziwni, wschodni ludzie bili w mosiężne gongi.

Zegary wydzwaniały dwunastą...

Raz, dwa, pięć, osiem, dziesięć, dwanaście.

Bum... bum!...

Dawno już przestały bić, a jeszcze powtarzały ich jęki tysiąckrotne, niezliczone echa... Zdało mi się, że to wszystkie dzwony starych ratuszów i wież kościelnych rozhuśtały się nagle i biją, grają, kolebią się w takt jakiejś niesłychanej, szalonej kołysanki... Głowę moją wypełnił po brzegi falujący, olbrzymi dźwięk, jakby alarm wstającej z martwych legendy.

Serce poczęło się tłuc w mych piersiach, nerwy moje rozdygotały się nagle, zbudziłem się jakby z bolesnego, smutnego odrętwienia i pierwszy radosny krzyk odezwał się w mojej głowie.

Karnawał...

Świat naokoło mnie tańczy, jak derwisz w szale, w zapamiętaniu, w dzikim entuzjazmie, sprężystemi skokami tygrysa... Dlaczegoż i ja nie miałbym tańczyć..,

Po długiej, powłóczystej tasiemce dymu wędrującej aż pod sufit z mojego cygara zesunęła się zwinnie, jak małpeczka maleńka, kolorowa bajadera.

— Maharadżo! — krzyknęła ostrym, alarmującym głosikiem.

— Jestem...

— Piękny, wielki, wspaniały! Chodź ze mną! Twój gibki grzbiet pręży się do drapieżnych skoków w wir zabaw, twoje oczy płoną, jak latarnie dyszącego rozkoszą Bombayu, twoje usta nabrzmiałe pragną pocałunków kobiet, nogi drżą pożądaniem tańca... Chodź ze mną...

Spojrzałem w ogromne lustro.

Miałem na sobie lśniący od drogich kamieni i złota kostjum maharadży. Na głowie jedwabny turban o srebrnym połysku skrzył się haftami djamentów. Dumnie i strzeliście wykwitał zeń storczyk strusiego pióropusza przypiętego do zawoju bezcenną agrafą... Kaftan wyszywany w przedziwne, niesamowite desenie. Pas z lamy złotej zawiązany buńczucznie u boku w ogromną kokardę i zwisający setką frenzli zakończonych wisiorkami z pereł. Na nogach szarawary. Stopy obute we wzorzyste pantofle o zakrzywionych nosach...

Jednem słowem — stałem przed nią, jak pyszny indyjski książę, „tygrys z Esznapura", jak ów mściwy półbóg kobiet z „Indyjskiego grobowca".

Ona z maleńkiej, miniaturowej figurki urosła przedemną i przeobraziła się w kobietę cudnej urody pobrzękującą kręgami siedmiokrotnych bransolet, w bajaderę o oczach bengalskiej pantery i ruchach sprężystych i miękkich, jak ruchy Kipling'owskiej Bagheery.

Ściany mego pokoju rozstąpiły się uprzejmie...

Starzy, bronzowi Hindusi o długich siwych brodach siedzący półkolem na skrzyżowanych nogach grali na piszczałkach, bębenkach i fletach, a ona poczęła tańczyć przedemną na misternie plecionych matach uderzając rytmicznie w złociste tamburino...

Welony rozwiały się naokoło jej ciała w mgłę świetlistą, ramiona wiły się jak węże połyskujące martwemi ślepiami pierścieni, a całe ciało rozkołysało się w czarowny pląs „Taniec świateł" królewny Kaszmiru.

Muzyka stawała się coraz gwałtowniejsza, coraz dziksza, wściekłe zawrotne tempo porwało tancerkę w delirjum obłąkanych skoków, obrotów i wzlotów, a oczy moje nie mogły już wprost nadążyć za raptownymi, prędkiemi jak myśl poruszeniami jej ciała.

Krzyknęła przeraźliwie i prawie omdlała padła w moje drapieżne ramiona... Sparzył mnie płomień jej rozpalonych warg, jak rozżarzona do czerwoności pieczęć, dłonie jej przebiegły po mnie dziwną, przemyślną pieszczotą i przywarła do mnie, jak fala zmysłowej gorączki, jak smuga ciepłego aksamitu ocierając się o mnie gładką, jedwabistą skórą...

Oh, jak bardzo pokochałem moją cudną nieznaną bajaderę. Jakże nagle, jak w okamgnieniu stała mi się wszystkiem — szczęściem i szaleństwem mojego życia...

„Zapal lampion, Kamadżi — zabrzmiał jej głos rozkazujący — a wtedy stanął przed nami, jakby zaklęciem wywołany z pod ziemi smukły, zwinny indyjski chłopiec z wielobarwnym, przepysznym lampionem na żółtej bambusowej trzcinie.

„Chodźmy —

„Wszędzie gdzie zechcesz księżniczko!

„W świat, między ludzi — szaleć...

„A ten lampion czemu zapalić kazałaś, najmilsza?

„Radżo, ten lampion to karnawał...

„Karnawał?

„Tak panie! Dziś zapłonął... Będzie nam świecił przez cały czas naszego złotego, radosnego romansu z baśni. Będzie nam latarnią magiczną cudów i czarodziejskich złudzeń... Będzie nas upajał jak opium i odbijał przed naszemi oczyma jak zwierciadło, wszystkie rozkosze rajów... A kiedy światło jego pocznie żółknąć mętnieć i zamierać... to będzie znak, że czas na mnie?

„Jakto? Mów jaśniej księżniczko...

„Gdy lampion karnawału zagaśnie, zagasnę i ja panie...

„Odejdziesz? — i nie wrócisz?

„Nie powiedziałam tego. Odejdę na rok cały' ale może... powrócę...

Rozsunęła kotarę.

„Oto świat... Chodźmy!...

I rzuciliśmy się głową nadół, naoślep, we wzburzony ocean karnawału...

Na wielkim, białym słoniu zdobytym na cesarzu Sjamu, wjeżdżaliśmy w ulice wszystkich stolic Europy. Ja na karku między dwoma wachlarzami uszu, ona w świetlanym, obwieszonym klejnotami palankinie. Słoń trąbiąc potężnie stąpał uroczyście wśród mrowia rozentuzjazmowanych tłumów, a za nami na dzwoniących uprzężą rumakach szczękała kopytami po bruku nasza bajeczna świta... Nadzy, kędzierzawi murzyni biegli w takt bębenków z pochodniami w rękach i stawali w dwurzędzie przed bramami tanecznych gmachów... Wchodziliśmy na sale balów i redut witani oklaskami i salwą powitalnych okrzyków,..

Damy w lekkich fantasmagorjach wieczorowych strojów, dżentelmeni w czarnych frakach i lśniących, porcelanowo białych gorsach, otaczali nas tłumnie...

„Skąd? kto? jak?" — zapytywali ciekawie. Ale dumne milczenie było im odpowiedzią...

Mali Malajczycy usługiwali nam i podawali mokkę w cudnie malowanych filiżankach,.. Piliśmy — a potem, gdy muzyka zagrała na sali rozpoczynał się poemat plastyki i harmonji — nasz taniec... Tańczyliśmy, jak para nieziemskich wirtuozów — a ludzie patrzyli z zapartym oddechem i wytrzeszczonemi oczyma na to zjawisko...

Potem oddaliliśmy się, znikając jak sen i pozostawiając po sobie atmosferę czarodziejskiego obłędu. Przez wszystkie stolice kontynentu przepływał ulicami nasz lampion Karnawału, a gdzie ukazał się, wybuchał ruch zabaw i krzyk orkiestr, a ludzie poczynali spoglądać przez różowe szkła na życie...

Paryż, Londyn, Neapol, Nicea — etap za etapem mijała nasza zapustna karawana czarów. Świat parował rozgrzanym aromatem ogrodów Szeherezady i przemienił się w baśń skrzydlatą,..

Aż raz...

Pewnego razu — pewnej nocy...

Gdy rozbłysł tysiącem świateł olbrzymi festival urządzony na naszą cześć w Barcelonie, a ramiona moje wyciągnęły się, by porwać moją kaszmirską księżniczkę w wir tańca — ujrzałem, że najdroższa moja słania się i blednie...

„Co to? — zawołałem przerażony...

„Nic. Lampion gaśnie. Obejrzyj się maharadżo...

Spojrzałem poza siebie.

Istotnie — gasł nasz „Karnawał" wiszący na żółtej, bambusowej trzcinie...

„Ludzie, na Boga! Ognia! — wrzasnąłem porwany panicznym strachem.

Biegli ku mnie zdziwieni, nierozumiejący, głupi...

„Ognia, światła, pochodni, do stu czerwonych djabłów! Czyż nie widzicie, że gaśnie — że podsycić go trzeba...

„Kto, kogo? poco? — zapytywali się nawzajem, mrugając bezradnie ślepiami. — O kim on mówi?

„Ależ lampion, nasz lampion kona...

„Kona? Kto kona? Doktora — wołali ci idjoci...

A księżniczka zachwiała się i upadła bezsilnie...

„Aaa! aaa! — rozległ się mój szloch straszliwy po ogromnym placu... — Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie tak księżniczko...

„Maharadżo, panuj nad sobą — szepnęła mi zdławionym głosem do ucha, gdym ją porwał na ręce zamierającą, jak kwiat podcięty i bladą jak chusta.

„Maharadżo, mój czas się zbliżył... Karnawał powołał mnie do życia, razem z Karnawałem giną' muszę. Myśl o mnie i kochaj. — Za rok, do widzenia...

Lampion zgasł...

Księżniczka przemieniła się w obłok srebrzysty i odleciała na księżyc...

Karnawał minął...

— — — — — — — — — — — —

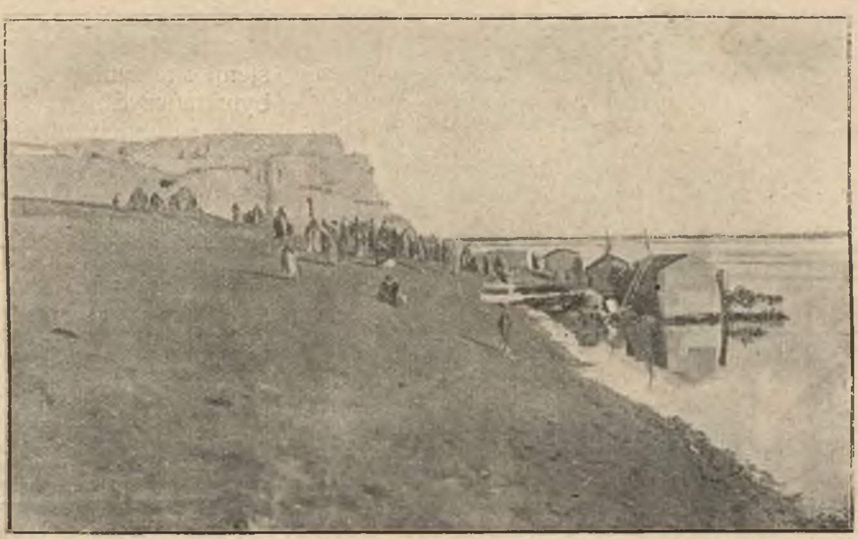
Popielec zastał mnie pogrążonego w okropnych wybuchach żalu i we łzach dzikiej rozpaczy...

Nic dziwnego.

Przecież pokochałem bardzo moją cudną indyjską księżniczkę.

Zamęt w świecie wyznawców Mahometa





Malowniczy port arabski Dżidda nad morzem Czerwonem w królestwie Abdullaha, króla Jemenu, a syna króla Hussejna.

Na gruzach kalifatu.

Płomień nacjonalizmu opanował powojenną Europę. Natrafił na łatwo zapalny materjał, wysuszony gorącymi promieniami południowego słońca na ognistym gruncie Italji. Na panewce spalił w zimnym Albjonie, powierzchownie tylko osmalił Polskę, tem gwałtowniej rozpalił się w kraju naszych odległych przyjaciół — w Turcji.



Wojownicy arabscy Króla Hedżasu, emira Husejna który po wygnaniu kalifa tureckiego sam się ogłosił kalifem jako władca świętych miast Mekki i Mediny

Rzecz dziwna: przysłowiony „chory człowiek" otrząsnąwszy się z bezwładu i apatji, stoczywszy niedawno zwycięską walkę z wrogami zewnętrznymi (Grecja), zdobywa się na postanowienia męzkie, stanowcze, w konsekwentnej swej polityce kroczy śmiało, nawet bardzo śmiało po tej drodze, której pierwszy etap stanowiło: przeniesienie stolicy państwa z Konstantynopola, kosmopolitycznego miasta o elemencie tureckim nader słabym, gdzie oddawna już zagnieździły się wpływy i intrygi potencji europejskich — do Angory, położonej w samem centrum obszaru etnicznie nawskróś



Książę Abdul Medzid, kalif muzułmanów, pozbawiony tej godności i wygnany z Konstanty opola przez tureckie zgromadzenie narodowe. Obecnie osiadły w Szwajcarji

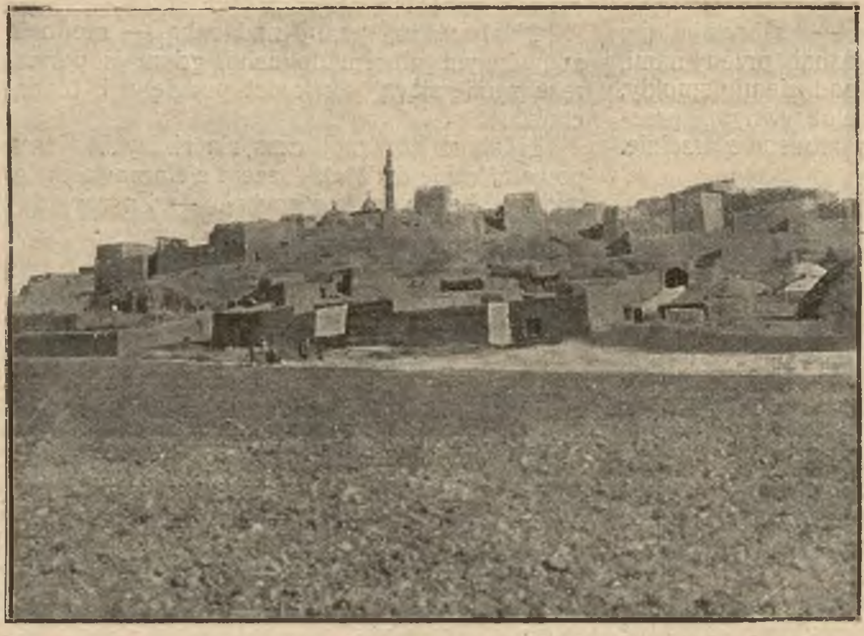
tureckiego. Drugim etapem było ogłoszenie republiki. a tem samem zgaszenie świetnego lecz sztucznego blasku berła padyszacha, trzecim rozdział władzy świeckiej i duchownej, na mocy czego Osmanida, kalif Abdul Medżid usunięty został definitywnie od jakiegokolwiek mięszania się w sprawy państwa — a pozatem cały szereg innych, doniosłych reform wewnętrznych.

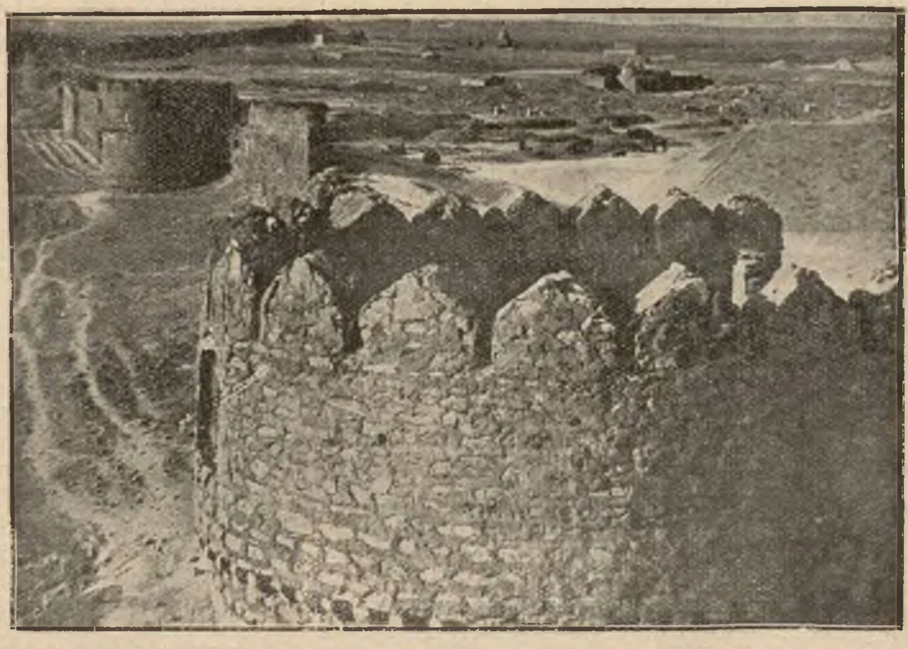
Z końcem ubiegłego miesiąca dzienniki przyniosły prawdziwie senzacyjną wiadomość: Zgromadzenie Narodowe republiki angorskiej powzięło uchałę, mocą której pozbawiono godności i wygnano z kraju kalifa Abdul Medżida, a atrybucje kalifatu przeniesiono na Zgromadzenie Narodowe



Synowie pustyni, poddani emira Fajsula króla Iraku, syna krola Hussejna, w stroju wojennym

Posunięcie to na szachownicy islamu nader zuchwałe i ryzykowne, prawdziwy szach królowi staroturеckich tradycji, fakt, który z pewnością na całym mahometańskim Wschodzie odbije się głośnem echem. Zlekceważono w ten sposób całą, niezwykle ważną symbolikę kalifatu, słońce, którego promienie rzucały blask aż na odległe placówki islamu Egiptów, Indji i Arabji, zrezygnowano z wpływów na liczne rzesze wyznawców proroka — w tych krajach, pozostawiając wolne pole zakulisowym intrygom Anglji, która niewątpliwie ręce z radości zaciera. Panmuzułmanizm nie istnieje już. Na jego miejscu powstaje szereg samozwań-





Miasto arabskie na pograniczu arabskiej pustyni w królestwie nowego kalifa króla Hussejna. Na prawo ruiny dawnej warowni z czasów wojen krzyżowych, wzniesionej na skraju pustynnych piasków Arabji

Gorączka spekulacyjna w Rosyi sowieckiej




Moskiewska czarna giełda: 1) Widok podworca jednego z domów w Moskwie, gdzie czarna giełda ma swą urzędową siedzibę. 2) Nawet bezrobotni spekulują. Tłum bezrobotnych w lokalu giełdy pracy zamiast tej pracy szukać, spekuluje i handluje walutami. Ag. fot. Johna Grandenza (Berlin).

czych ambicji drobnych niegdyś wasalów sułtana, którzy nie omieszkają wyzyskać korzystnej konjunktury dla urzeczywistnicnia swych szerokich planów. Mamy tu na myśli przedewszystkiem chytrego króla Husseina, władcy Hedżasu, który pochwycił skwapliwie moment sposobny, by aureolą duchownej władzy kalifatu otoczyć swoją głowę. Czy ogłoszenie się Husseina kalifem nastąpiło pod auspicjami Anglji i za ścisłem porozumieniem z tą mądrą intrygantką Orjentu, czy też wprost przeciwnie – nadmierne rozszerzenie się sfery wpływów butnego arabskiego państewka będzie dla niej kulą u nogi — dotychczas pozostaje to zagadką. Najprawdopodobniejszem wydaje nam się, że Wielka Brytanja, ten Machiavelli kompromisów będzie umiała i tym razem odegrać dwulicową rolę. Równocześnie więc będzie ona popierać kalifat Husseina, nie omieszkając i gdzieindziej podsycać podobnych samozwańczych ambicji, by w świat kotłującego się Islamu wnieść jak największy rozstrój i niepokój, a zarazem dusić będzie ekspanzywne dążności Hedżasu stalową obręczą przeszkód i podstępów. Wiadomo nam bowiem, że w interesie Anglji leży jaknajszybsze rozdrobnienie i rozbicie wspólnoty plemiennej i religijnej Mahometan przez stworzenie wśród nich całego szeregu drobnoustrojów państwowych. Ambitny Hussein, król wojowniczych synów pustyni utrzyma się zapewne na swoim stolcu, póki nie sięgnie po berło zjednoczonej Arabji, póki nie targnie się na sztuczną budowę niezawisłych karykatur Jemenu, Transjordanji i fanatycznych szczepów Wahabitów. W przeciwnym razie przemożna wola Anglji usunie go sobie z drogi i osadzi na egzotycznym tronie wygodniejszego dla jej światowych planów wasala.

Podajemy tutaj szereg zdjęć z Hedżasu, malowniczy port Dżyddy, szeregi żołnierzy Husseina i zwaliska starych strażnic na granicy pustyni, po której żerują dzikie drużyny „raubritterów" wahabickich z Roba el Khali.

Gorączka spekulacyjna w Moskwie.

Spekulacja i czarna giełda, których potęga i wpływ zostały u nas w ostatnich czasach złamane — dopiero teraz rozkwitły na dobre w Rosji Sowieckiej. Po rublach carskich, dumskich, kiereńskich i sowieckich „dawnych" i nowych rublach obecnie panuje tam czerwoniec i banknoty opiewające na „ruble złote". Wypuszczono też świeżo nowe monety srebrne. Ale dzięki nieopanowanemu jeszcze chaosowi, spekulacja tam rozwinęła się i rozwielmożniła tak jak to niedawno u nas było, albo i jeszcze potężniej. Czarna giełda w Moskwie — są to setki tysięcy ludzi, którzy na ulicach lub podwórzach domów handlują walutami i dokonują tranzakcji. Nawet „Giełda pracy" dla bezrobotnych zamieniła się na saię „Czarnej giełdy". Każdy chce się pozbyć „rubli sowieckich", nabywając za nie „czerwońce" lub funty i dolary. Myśmy tę gorączkę już przebyli, ciekawą jest rzeczą, jak sobie da z nią radę Rosja Sowiecka.




Gorączka spekulacyjna w Moskwie: 1) Czarnogiełdziarze amatorzy wymieniają na ulicy niepewne „ruble sowieckie" nn „czerwońce", złoto i na waluty zagraniczne. 2) Zastępca sowieckiego komisarza finansów Barkanow, oraz nowe monety srebrne wydane przez skarb sowiecki na 10, 15, 20 i 50 kopiejek. Ag. fot. John Grandenz (Berlin).

Ze świata mody



Kostjum „przejściowy“ z kowerkotu, kapelusz-hełm i szal chiński z krepy.

Czas przejściowy, deszcz i śnieg, pierwsze podmuchy wiosny splatają się z chłodnym przeciągiem wiatrów upartej zimy. Prawdziwa ciuciubabka. Gonimy wiosnę — z wyciągniętemi chciwie rękoma, ale wciąż mamy oczy zawiązane śniegową chustą zimy, a wiosna wymyka nam się z pomiędzy dotykających jej już palców. Rano mróz, w południe słońce, ciepło i szkaradna chlapa. Zima, wiosna i jesień ujęły się razem za ręce i skaczą wokoło nas w szalonym korowodzie. Co tu ubrać? Jak sobie radzić z tą — niewygodną dla pań aurą? Ot, naprzykład ci mężczyźni, jakże im łatwo żywot płynie! Ciemna, lub jasna marynarka, płaszcz obłożony, lub nie obłożony futerkiem i jazda na ulicę! A my kobiety? Ubierzesz się ciepło i zimowo o 9-tej, o 12-tej biegnij prędko do domu i przyoblekaj jakieś wiosenne szaty, — wyjdziesz rankiem na śnieg w botkach, w południe już potrzebne są kalosze. Mimo to, a raczej właśnie dlatego wiosenne zakupy w całej pełni. Mrowie ruchliwych, żwawych kobiet ruszyło się ze swych gniazd zimowych i rozgląda się za nowym „ekwipunkiem“. Sklepy i magazyny zalane falą kupujących. Mężowie smutnie spoglądają na swoje wysuszone w mgnieniu oka portfele, a mnóstwo nieporozumień i małżeńskich kłótni powstaje na tle niższości umysłowej mężczyzn, nie orjentujących się w tem, ile pieniędzy potrzebuje solidna, szykowna niewiasta, by się przyzwoicie ubrać.

Ale... ale... w zapale narratorsko - oratorskim zapominamy o tem, o czem właściwie mieliśmy napisać. Spójrzcie na te dwie zgrabne sylwetki, które przedstawia rycina. Oto jeszcze modele Zachodu, których już tyle widzieliśmy w tym rokn. Bo, nie myślcie by Zachód, a zwłaszcza jego Babilon—Paryż zapomniał o swych powinnościach względem setek miljonów pięknych pań całego cywilizowanego świata. Przygotowuje on całą „kampanję wiosenną“ kostjumów, całą Niagarę pomysłów i nowych nigdy niewyczerpanych kombinacji, całe serje najróżnorodniejszych kreacji. Oto zgrabniutki, elegancki (przejściowy) kostjum z kowerkotu. Sukienka prawie do kostek, luźna kurtka z nisko umieszczonym paskiem, kieszenie szerokie, podwójne, przedzielone pomysłowo śmiałym ściegiem. Szarą jednobarwność tego kostjumu ożywia malowniczy, egzotyczny szal chiński z krepy fantastycznie związany na szyji i kapelusik-hełm z filcową aplikacją. A tu obok wytworna szata wieczorowa, której artystyczną konstrukcję uwydatniło w całej pełni zwierciadło ukazując nam szlachetne, stylowe linje upięcia sukni z tyłu. Suknia z czarnej Crepe Georgette o wycięciu płytkiem a podłużnem spięta na ramionach poniżej bark, z przodu płaska i całkiem pojedyncza, z tyłu zato rozkwita hojnem bogactwem fałdów, bardzo rozlewnych i miękkich. Z przodu od pasa ku dołowi szeroki szlak brokatu o przepięknych wzorach. Wogóle brokat utrzymuje się wciąż, a nawet wchodzi coraz więcej w modę, używany we wszelkich możliwych kombinacjach (specjalnie na kapeluszach z rondem i „hełmach“).



Wytworna suknia wieczorowa z czarnej „crepe georgette“.

Oba te modele odznaczają się skromną dystynkcją, wysoce artystycznym gustem i dyskretną harmonją barw i linji. Nie wątpię, że niejedna z pań zachwyci się nimi i natchniona tym wzorem, stworzy jakąś nową, piękną i ciekawą kreację. *Ira L.*

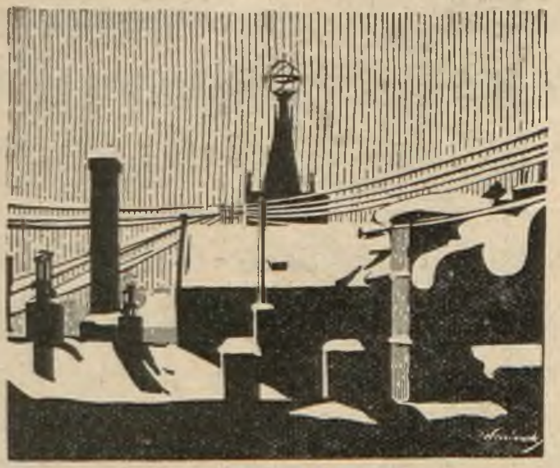


Norma Talmadge - urocza królowa filmów Ameryki.

Norma Talmadge — królowa filmu Nowego Świata.

Starzejące się i usuwające w cień zapomnienia gwiazdy filmów Starego Świata, nasze europejskie Fern Andry i Asty Nielsen przyćmiewa coraz bardziej blask talentu księżniczek ekranu Nowego Świata. Szalony rozmach i bogactwo amerykańskich wytwórni ułatwia młodym a zdolnym adeptkom wybicie się i otoczenie swych główek aureolą wszechświatowej sławy. Wśród monumentalnych budowli stolicy filmu Los Angelos, w kotle najśmielszych pomysłów i brawurowych rekordów w technice dokonywują się prawdziwe rewolucje, istne przewroty w państwie srebrnego ekranu. Rok po roku przynosi nam wciąż nowe i nowe zdobycze, genjalna reżyserja Griffitha wstrząsa opinją kinomanów i odbywa swój trjumfalny pochód przez wszystkie teatry świetlne naszej planety. A na tle tych potężnych obrazów, z fascynujących mózgi i nerwy widzów taśm zaatlantyckich wytwórni wykwitają przecudne sylwetki artystek i czaruje nas ich przesubtelna, wykwintna gra mieniąca się, jak łańcuch klejnotów blaskiem prawdziwych, głębokich, artystycznych przeżyć. Liljana Gish, Priscilla Dean, Paulina Frederick, Mary Pickford, a ostatnio Norma Talmadge – oto królowe i boginie zdobywającego i w tej dziedzinie bajeczne rekordy Nowego Świata. Najmłodsza z nich, Norme Talmadge, fenomenalne wprost zjawisko ekranów, występując na arenę odrazu z całym zasobem najcenniejszych artystycznych zalet zdobyła sobie za jednym zamachem serca amerykańskiej publiczności i zgryźliwe pióra krytyków. A entuzjazm ten jest najzupełniej słuszny i uzasadniony. Tkliwość i naiwny urok Mary Pickford i dramatyczny patos Pauliny Frederick splotły się w niej w olśniewający czar gry szlachetnej, wysokiej i mądrej. I oto widzimy, jak w ostatnich latach Norma Talmadge wysuwa się na czoło ulubienic Stanów Zjedn., dystansując nawet tak ubóstwianą tam Mary Pickford. My nie poznaliśmy jej jeszcze, nie wątpimy jednak, że opinje zachodnich wielbicieli „dziewiątej Muzy“ będzie i naszą opinją.

Pierwszy film, jaki przybył do Polski z Normą Talmadge, dramat p. t. „Twoja na wieki“ sprowadził do Krakowa **kinoteatr „Uciecha“**, gdzie też publiczność krakowska podziwiać ją może.



Kraków w śniegu. Rys. Wasilewski.



Kraków w wodzie. Rys. A. Wasilewski.



Piękny Kraków. Fot. St. Leo.

Lwiątko w niewoli.

Tragicznym jest los króla pustyni w niewoli. On, udzielny pan na niezmierzonych obszarach żółtych piasków i skał Sahary, Gwinei i Przylądkowego Kraju, on przed którym czarni krajowcy uciekają w panicznej, zabobonnej trwodze, „pan z wielką grzywą“, którego zabicie obchodzą uroczyście i radośnie Beduini i Tuaregowie z koczowisk — zamknięty w ciasnej klatce, ku uciesze gawiedzi obwożony po miastach Europy płaszczyć się musi przed batem cyrkowego pogromcy. Smutniejszym jeszcze od losu dojrzałego samca, czy samicy, które wszak wyhulały się już dowoli na swobodzie, jest los małego lwiątka urodzonego w niewoli. Nigdy ono nie zazna rozkoszy pobytu na wolności, nigdy nie odetchnie cudownem powietrzem puszcz, nigdy nie ujrzy dziedzictwa swych szczęśliwych, nie „okutych w powiciu“ przodków. Jego mali bracia i siostry w legowiskach pustynnych piszcząc radośnie bawią się pod okiem trokliwej, czujnej matki gotowej w każdej chwili skoczyć z zębem i pazurem na zagrażającego pociechom jej wroga — a ono dusi się w ciasnocie swego nudnego więzienia. Ale samolubny egoizm ludzi nie zastanawia się nad krzywdą wyrządzoną biednemu zwierzęciu — bo czemżeby pochlubiły się menażerje i ogrody zoologiczne Londynów i Berlinów, czemżeby wstrząsały nerwy widzów cyrki Buffalo-bilów i Barnumów, gdyby nie miały tych przepysznych, królewskich stworzeń. Cóżby zastąpiło nudzącym się patrycjuszkom Kartagi i Rzymu i miljarderkom Nowego Jorku rozkosz posiadania swych małych, drapieżnych ulubieńców. Jakiż rozkoszny widok przedstawia nam młode lwiątko łakomie i niezgrabnie ssące mleko z butelki, pomrukujące z zadowolenia z podwiniętym pociesznie ogonkiem. Takiego właśnie kapryśnego malca wysączającego swój płynny posiłek przedstawia nasza rycina. Oby znalazła się wspaniałomyślna właścicielka, czy właściciel, któryby biedaka tego, gdy dorośnie oddał jego piaskom i wolności.

Marcowa pogoda

Zima niezwykle długotrwała w roku bieżącym zaczyna zwolna słabnąć. Jeszcze płaty śniegu Zwisają z dachów — ale już co kilka dni w południe ulice zamieniają się w rzeki i jeziora błotne.

Cóż będzie, gdy wiosna przyjdzie naprawdę? Kraków cały zatonie w wodzie, w której biedni Krakowiacy brodzić będą po szyję. A może z odwilżą wiosenną przejdzie nad Krakowem nowy potop, w czasie którego tylko wieża Marjacka sterczeć będzie ponad niezmierzoną płaszczyzną wód i błota — jak to przedstawia na rysunku wyżej artysta malarz p. Wasilewski.

HENRYK GRALSKI.

Aforyzmy i paradoksy.

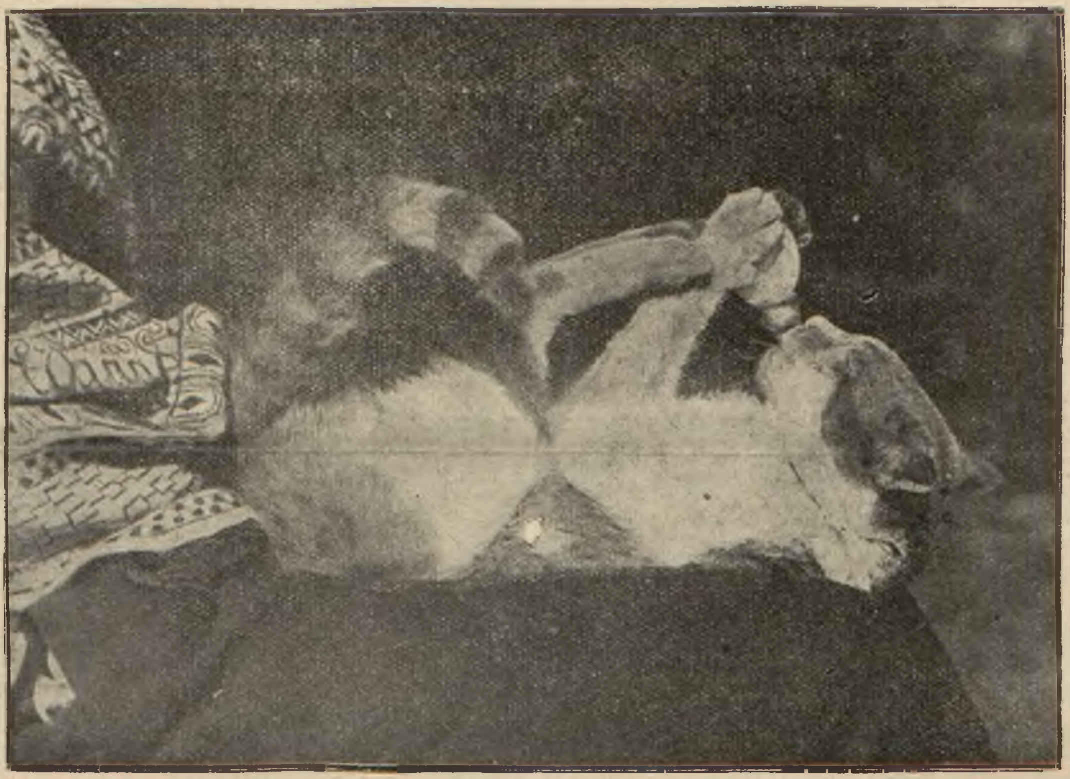
Łatwiej nauczyć się w obcym języku mówić, niż we własnym... milczeć.

* * *

Jajko Kolumba zniosła niezawodnie kaczka... dziennikarska.

* * *

Owinięty w jaskrawe sukno partyjne — każdy charakter bleknie.



Lwiątko urodzone w klatce i nauczone ssać, jak niemowlę mleko z butelki. Fot. Grandeuz.



Posąg Madonny przed kościołem św. Trójcy w Bydgoszczy, dłuta prof. Giecewicza, ufundowany przez przemysłowca bydgoskiego p. Posłusznego.

Posąg — za ocalenie życia.

Bydgoszcz, 18 marca.

Odległe echo Wielkiej wojny — ale jakie charakterystyczne...

W Bydgoszczy odsłonięto w tych dniach piękny posąg Madonny dłuta prof. Giecewicza.

Statuę tę, ustawioną na tle srebrnych brzóz przed kościołem św. Trójcy na efektownem wzniesieniu z czerwonej cegły, ufundował znany przemysłowiec bydgoski i radca miejski p. Leon Posłuszny.

Mieszkając w. r. 1914 tuż naprzeciw tego kościoła, gdy wzięty do szeregów armji zaborczej, wyruszał na pole walki, uczynił ślub, że przed tym kościołem ufunduje wielką statuę Królowej Najświętszej jeśli mu pozwoli zdrowo powrócić do domu.

A gdy tak się stało, — zdrowo ocalony zamówił u znanego profesora rzeźby Giecewicza piękną dużą statuę z białego piaskowca. Robota przeciągnęła się trochę długo, ale w rezultacie niedawno Ks. prof. Płotka w otoczeniu kleru i tłumnie zebranej publiczności dokonał poświęcenia statuy którą nazwano „M. Boską szczęśliwego ocalenia“...

Piękny ten posąg, wzniesiony tuż przy pryncypalnej ulicy jest piękną i trwałą manifestacją polskości i katolickości tego grodu, który Niemcy przez lat 150 okupacji na „urdeutsch“ i „echt-protestantisch“ przerobić usiłowali...

Amicus.

MASZYNY
do pisania i do rachowania

przyjmuje do gruntownej naprawy i czyszczenia, pierwszy w Małopolsce zakład mechaniczny

WŁODZ. KEYHA, mechanik
Kraków, ul. Florjańska L. 3.

KAPELUSZE damskie
o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje
„ANTONINA“ pracownia kapeluszy damskich
Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.
- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

Materyały wełniane!
na suknie i kostyumy damskie
na ubrania męskie
płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony
wszystko w wielkim wyborze
i po cenach konkurencyjnych
poleca
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Zakład techniczno-dentystyczny
N. KLEINBERGERA
Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Magazyn Galanteryjny „Au Bon Marche“
Leon Nass Kraków, ul. św. Tomasza 20.
przecznica Florjańskiej róg Szpitalnej
poleca w wielkim wyborze:
Bieliznę męską i damską, pończochy, skarpetki. rękawiczki skórkowe krawaty, kołnierze, szale jedwabne, kamizelki damskie i t. p.
Towary pierwszorzędnej jakości. Taniej niż wszędzie

Fortepiany i Pianina

Bechstein
Blüthner
Bösendorfer

do nabycia tylko u firmy:
Helena Smolarska
Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.

NICI
BAWEŁNY
KORDONKI
D. M. C.

Nadeszły WEŁNY na Jumpry
fabryk angielskich i francuskich
Poleca.
Polska Centrala Handl. Nićmi **S. WEGENKO i Ska**
Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici
Warszawa, Krucza 24. Tel. 137-17 i 266-14.
Żądać wyczerpujących ofert i cenników.

LACET'Y
ZEPHYRY
JEDWABIE
L. V.



F. Lubański, Kraków, ul. św. Anny 2.

POSZUKUJE POKOJU młody, solidny człowiek na dogodnych warunkach może być z utrzymaniem. Zgłoszenia w Ad. „N. Illustr.“ pod **W. W.**

POSZUKUJE SIĘ POKOJU umeblowanego z całodziennym utrzymaniem dla dwu osób, najchętniej w okolicy parku Krakowskiego lub Nowej Wsi. Zgłoszenia pod „Redaktor“ w administracji „Nowości Illustrowanych“ ulica Kazimierza Wielkiego 95.

POSZUKUJE SIĘ POKOJU UMEBLOWANEGO bez utrzymania, może być wspólne wejście. Łaskawe zgłoszenia do adm. „Nowości Illustrowanych pod **T. B.**

Zakład cynkograficzny i fotograficzny
„Nowości Illustrowanych“

W lokalu własnym zaopatrzonym w urządzenia techniczne najnowszych systemów, zapewniające Szanownej Klienteli solidne, tanie i szybkie wywiązanie się z powierzonych nam zadań — —

Adres:
Zakład cynkograficzny i fotograficzny
„Nowości Illustrowanych“
Kraków, Kazimierza W. 96, telefon 479

FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA
poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

REKLAMA
rozwija handel i przemysł

REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO
przez Dra Z. Mandla adwokata w Krakowie omawia problem rozwodu, seperacji, ślubów cywilnych i t. d z uwzględnieniem ustawodawstwa trójdzielnic.
DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH.

IGNACY CYPRES
KRAKÓW, UL. SZEWSKA L. 13/11.
wysyła za nadesłaniem 250 tysięcy interesujący cennik zegarków, instrumentów muzycznych i wszelkich artykułów codziennego zapotrzebowania.

Stanisław Hachaj
ul. św. Tomasza l. 9.
Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecęcego.
Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze

---

ZDOLNEGO I ENERGICZNEGO
AKWIZYTORA
przyjmie zaraz administracya
„Nowości Illustrowanych“
ul. Kazimierza Wielkiego l. 95 telefon 479.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red. Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina